

## Wywiad z małżeństwem Kazimierą i Władysławem Miliszewskimi Nowa Zelandia, Wellington

**Ks. Andrzej Chibowski:** Proszę opowiedzieć o życiu na Kresach przed wywózką do ZSRR?

**Kazimiera Miliszewska:** Urodziłam się w 1931 roku. Mieszkaliśmy blisko dziadków na Kresach, na terenie obecnej Białorusi. Ojciec uprawiał ziemię. Niedaleko mieszkał stryjek, który też był rolnikiem. Pamiętam, że podczas żniw wszyscy sobie pomagali. Byłam najstarsza. Miałam siostrę i trzech braci.

Rodzice zaczęli budować dom. Wcześniej mieszkaliśmy z dziadkami. Mieliśmy wspaniałe życie. Pamiętam jak biegałam boso po polu. Ojciec był bardzo religijny. Dziadek i babcia często siadali przy piecu i modlili się. Musieliśmy modlić się z nimi. Dziadek mamy, który pochodził z Mazowsza, kupił ziemię na Kresach. W tej wsi mieszkali nie osadnicy wojskowi, ale ci którzy sami kupili ziemię, głównie Polacy. Założyli kółko kooperatywy rolnej. Rodzice sprzedawali owies dla pułku wojska, który tam stacjonował. Kiedy ojciec pojechał na jarmark coś sprzedać, czekałam na niego przy bramie, bo wtedy przywoził nam landrynki.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Panie Władysławie, jak Pan zapamiętał lata dzieciństwa spędzone na Kresach?

**Władysław Miliszewski:** Mieszkaliśmy w Rajgrodzie nad jeziorem. Ojciec w wieku 16 lat wstąpił do wojska. Polska była wtedy pod zaborami. Później uczył się w szkole policyjnej, ale nie podobała mu się praca policjanta. Został sekretarzem w Urzędzie Miasta. Tam też mu się nie podobało, więc otworzył masarnię i miał kilka sklepów. Rodzice zatrudniali pomoc domową. Do szkoły poszedłem o rok wcześniej, bo starsza siostra zaczęła naukę i ja też chciałem. Później nienawidziłem tej szkoły. Czasem uciekałem z lekcji z kolegami.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Ile miał Pan rodzeństwa?

**Władysław Miliszewski:** Było nas troje. Miałem siostrę i brata. Urodziłem się jako drugie dziecko. Po szkole chodziliśmy na lekcje religii, które odbywały się w kaplicy obok kościoła. Po trzech latach przygotowań do przyjęcia I Komunii św., mieliśmy w sobotę iść do spowiedzi. Tak się nie stało, bo w piątek wywieźli nas na Syberię. To było w kwietniu 1940 roku. Ojca aresztowali już w lutym.

**Kazimiera Miliszewska:** Deportacje odbywały się w dwóch turach. Moja rodzina została wywieziona w lutym a Władysława dopiero w kwietniu.

**Władysław Miliszewski:** Chłopi zaczęli wycinać rządowe lasy. Proboszcz zawołał ojca i mówi: *Kazik, zrób coś, bo niszczą lasy*. Ojciec założył milicję obywatelską. Jeździł wozem z furmanem ze straży pogranicznej. Ktoś doniósł, że wożą rzeczy dla partyzantów. W lutym enkawudziści przyszli aresztować ojca. Nie było go w domu, bo pojechał po siano dla konia. Czekałem na niego, żeby mu powiedzieć, że żołnierze przyszli go aresztować. Nie posłuchał mnie. Wrócił do domu... Później w kwietniu o w nocy przyszli Sowieci i stukali do naszych drzwi.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Byliście wtedy tylko z mamą?

**Władysław Miliszewski:** Nie tylko. Była u nas siostra mamy z Augustowa. Wojsko zajęło kilka pokoi w ich domu. Stasiak Kordaszewski czeladnik, który pracował u rodziców, być może wiedział o planowanych wywózkach, bo pracował też dla Sowieców. Pewnego dnia

powiedział do mamy: *Trzeba zabić świnie i przygotować wędliny*. W dniu wywózki spakowaliśmy te zapasy żywności. Wieczorem zawieźli nas na stację kolejową w Grajewie. Musieliśmy wsiąść do pociągu. Jechaliśmy dwa tygodnie do Pawłodaru w Kazachstanie.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy mieliście świadomość, że jedziecie na zesłanie?

**Władysław Miliszewski:** Wiedzieliśmy od początku. Jeden z żołnierzy, który przyszedł po nas powiedział: *Może zobaczymy się w Kazachstanie*. W naszym domu zamieszkali oficerowie NKWD. Podobno w sądzie bronili ojca. W porównaniu do innych rodzin nie było nam tak źle. Przyjechaliśmy do Pawłodaru w Kazachstanie.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Co się stało z ojcem?

**Władysław Miliszewski:** Do dzisiaj nie wiem. Był w więzieniu w Mińsku. Stamtąd napisał do nas ostatni list. Nawet nie wiedział, że zostaliśmy wywiezieni. Kiedy przyjechałem do Teheranu, szukałem nazwiska Miliszewski w ewidencji i nic nie znalazłem.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Jak przebiegała jazda pociągiem do Kazachstanu?

**Władysław Miliszewski:** Wyjechaliśmy ze stacji dla pociągów towarowych w Białymstoku. Pilnowali nas żołnierze z karabinami. Z pociągu uciekło dwóch studentów. Nie złapali ich. Czasem zatrzymywaliśmy się na stacji. Wtedy dawali nam gorącą wodę tzw. *kipiatok*.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy miał Pan świadomość, że w pociągu umierają ludzie?

**Władysław Miliszewski:** W moim wagonie nikt nie umarł.

**Kazimiera Miliszewska:** Mój dziadek właśnie tak umarł. Zawinęli w coś jego ciało i wyrzucili z wagonu.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy dziadek wcześniej chorował?

**Kazimiera Miliszewska:** W wagonie było bardzo zimno. Może miał grypę. Brakowało jedzenia. Jechaliśmy w lutym. Wielu ludzi chorowało. Dzieci płakały i kasłały. Nie zdawałam sobie sprawy z tego co się działo. Dopiero później jak podsłuchiwałam rozmowy starszych, dowiadywałam się, że ktoś zmarł.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy pamięta pani ten moment kiedy dojechaliście do posesiłka na Syberii?

**Kazimiera Miliszewska:** Nie pamiętam. Byliśmy w Archangielsku. Zima była bardzo surowa. Ojciec pracował w lesie przy wycince drzewa. Mama opiekowała się nami.

**Władysław Miliszewski:** Mama pracowała w bani (łaźni).

**Kazimiera Miliszewska:** To później, kiedy wywieźli nas dalej.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy na posesiłku chodziła Pani do szkoły?

**Kazimiera Miliszewska:** Musieliśmy chodzić do szkoły. Nie byłam dobrą uczennicą. Raz nauczycielka zapytała mnie o coś. Zaczęłam się śmiać. Nie odpowiedziałam. Za karę musiałam stać w kącie. Nie chciałam uczyć się języka rosyjskiego.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Jakich przedmiotów uczyła się Pani w szkole. Pewnie musiała się Pani uczyć o Stalinie?

**Kazimiera Miliszewska:** Tak i trzeba było pisać po rosyjsku.

**Władysław Miliszewski:** Na historii uczyliśmy się o Kościuszcze, Washingtonie. Kościuszeko był bardzo ceniony przez Sowieców. Chodziłem tylko kilka dni do szkoły w Kazachstanie. Chciałem pomagać matce. Przyjechaliśmy pociągiem do Pawłodaru. Dalej płynęliśmy trzy dni łodziami. Do sowchozu Kajmanaczi dotarliśmy ciężarówkami. W naszym transporcie były prawie wyłącznie kobiety i tylko trzech mężczyzn. Zamieszkaliśmy w budynkach, w których wcześniej trzymano bydło. Gryzły nas pluskwy. Chciałem pomóc matce, więc

zatrudniłem się przy rozwożeniu ayranu tj. jogurtu przy pomocy woła, który ciągnął drewniany beczkowóz. Po rozwieżeniu ayranu napełniałem beczkę wodą. Miałem wtedy zaledwie 11 lat, ale byłem wysoki. W Kazachstanie żyły małe dzikie świnki. Polowałem na nie. Wlewałem wodę do ich nor a kiedy świnki wychodziły na powierzchnię, zabijałem je i ściągałem skórkę. Dostawałem za to pieniądze. To była moja pierwsza praca.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Nie było obowiązku nauki w sowchozie?

**Władysław Miliszewski:** Sowietci cieszyli się, że pracowałem. Aresztowali trzy Polki. Matka opiekowała się ich dziećmi. Ogłoszono amnestię, ale matka nie mogła opuścić sowchozu, bo była odpowiedzialna za te dzieci. Kiedy tamte kobiety wyszły z więzienia, było już za późno, żeby wyjechać z Armią Andersa. Pewnego razu zbierałem kartofle. Tam poznałem Karola, który był kilka lat starszy ode mnie. Okazało się, że w sierocińcu jest jeszcze jedno miejsce. Zgłosiłem się tam, ale nic nie powiedziałem matce. Uciekłem od matki, bo chciałem ją odciążyć. To było zimą 1942 roku.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy później odwiedził Pan mamę?

**Władysław Miliszewski:** Nie. Byłem dwieście kilometrów od mamy. Zawieźli nas do Pawłodaru.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czym się pan kierował?

**Władysław Miliszewski:** Myślałem, że jak ten Karol mógł tak zrobić, to ja też mogłem. Miałem poczucie, że odciążyłem matkę, bo nie musiała mnie karmić. Pojechalśmy do Pawłodaru. Okazało się, że tamtejszy sierociniec już odjechał. Zabrali nas dwa tygodnie później. Wigilię w 1942 roku spędziłem na stacji kolejowej w Nowosybirsku.

1 stycznia 1943 roku przyjechaliśmy do Aszhabadu. Kierownik i nauczyciele mieli dużo jedzenia a nam dawali zupę fasolową, w której pływały robaki. Zostałem dyżurnym i zmieniałem wartę. Zakradaliśmy się do magazynu z jedzeniem. Kiedy ktoś nadchodził, ci którzy byli w tym czasie w magazynie mieli czas, żeby się schować, bo wartownicy specjalnie stukali podkutymi butami po kamiennej podłodze. Mieliśmy podrobione klucze do magazynu. Używaliśmy kawaleryjskiej lancy, żeby dosięgnąć do stołu z chlebem.

Po śmierci Sikorskiego nasza sytuacja się skomplikowała. Przedstawiciele ostatniej polskiej ambasady zatrzymali się u nas w drodze do Persji. Wtedy opiekunowie karmili nas znacznie lepiej. W ambasadzie pracował brat premiera Tomasza Arciszewskiego. Jeden z chłopców z sierocińca Zbyszek Arciszewski był jego bratankiem. Zbyszek zaprosił nas do wujka. Ten zapytał jak nas karmią. Powiedzieliśmy prawdę. Bardzo się zdenerwował. Słyszeliśmy o planach odesłania nas do posiołków, ale niespodziewanie dostaliśmy wiadomość, że pojedziemy po Persji.

Przyjechaliśmy do Persji. Droga przez góry była bardzo niebezpieczna. Zatrzymaliśmy się w Bajgiranie. Udaliśmy się do Meshedu. Tam znajdował się polski sierociniec, ale nasza grupa była zbyt liczna. Zakwaterowali nas w silosie. Kierowniczką pani Bochenkowa zaprzyjaźniła się z perskim kierowcą. Podpatrzyłem to, więc dostawałem od niej pomidory, ogórki a nawet papierosy. Tam nauczyłem się palić papierosy. Z Meshedu przenieśli nas do Teheranu. Zostałem przydzielony do obozu nr 2, który był przejściowym obozem dla junaków.

W Teheranie zobaczyłem jakiegoś księdza. Powiedziałem mu, że znam katechizm. Przepytał mnie. Wypowiadałem się. W niedzielę razem z Alfredem przystąpiłem do I

Komunii św. Ks. Michała Wilniewczyca poznałem w Ahwazie w Persji. Później zostałem przeniesiony do Isfahanu. Przydzielili mnie do zakładu nr 7.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Proszę opowiedzieć o wyjeździe do Nowej Zelandii?

**Władysław Miliszewski:** W Polsce trwała wojna. Wysyłano nas z Persji do Rodezji, Indii, Meksyku. Polski Rząd na Uchodźctwie skierował nas do tych krajów, żebyśmy ukończyli szkołę.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Na okręcie płynącym do Nowej Zelandii było ponad 730 dzieci. Jak Pan zapamiętał tę podróż?

**Władysław Miliszewski:** Na okręcie było bardzo tłoczno. Spaliśmy tam, gdzie udało się znaleźć trochę miejsca. Jedzenie było dobre. Kiedy pracowałem jako taksówkarz, wiozłem kapitana tego okrętu.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Jak Pan zapamiętał ks. Michała Wilniewczyca?

**Władysław Miliszewski:** Poznałem go w Persji. Tłumaczył nam wszystko jak ojciec. Uczył nas życia. W Pahiatua z okazji imienin zawsze dostawałem od niego coś do pisania. Nie byłem ministrantem, bo nie chciałem uczyć się łaciny. Ks. Michał mówił do mnie: *Wy Mazurzy szybko się zapalacie i szybko gaśnicie*. Jak ks. Wilniewczyc dostawał wypłatę, dawał mi rower i mówił: *jedź do miasta i kup czekoladki*. Rozdawał je później najmłodszym dzieciom. Starszym kazał wieczorem biegać a potem wziąć zimny prysznic. Mówił: *Teraz to wam diabeł do głowy nie przyjdzie*. Taki był ksiądz Michaś.

Palilem papierosy. Chciałem zapalić tam gdzie była grota Matki Bożej. Ks. Wilniewczyc mnie przyłapał. Za karę nosiłem kamienie do budowania tej groty. Ks. Wilniewczyc mówił: *Wiesz Wladek, tobie nie wolno palić. Jak zapalisz, musisz iść do spowiedzi*.

W 1985 roku z żoną i dziećmi przyjechałem do Polski i odwiedziłem ks. Michała Wilniewczyca w Drohiczynie. Biskup Władysław Jędruszek mówił na kazaniu: *Zobaczcie przyjechał wychowanek ks. Michała Wilniewczyca z Nowej Zelandii. Przywiózł żonę, synów, którzy znają język polski*. Mówię wtedy do ks. Michasia: *Widzi Ksiądz, jednak Mazurzy trzymają się swoich zasad*.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy ks. Wilniewczyc myślał, że wrócić do Polski?

**Władysław Miliszewski:** W Nowej Zelandii mieliśmy być tymczasowo. Ks. Michał był patriotą.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Pani Kazimiero proszę opowiedzieć jeszcze o czasie spędzonym na Syberii.

**Kazimiera Miliszewska:** Dziadek zmarł. Była z nami babcia i ciotka, siostra tatusia. Trzech moich braci zmarło przez choroby i głód. Byli małymi dziećmi. Mama oddała mnie do sierocińca, bo nie była w stanie nas wyżywić. Tatuś poszedł do wojska. W sierocińcu nie było miejsca dla mojej młodszej siostry. Miałam wtedy 9 lat. Nie chcieli nas przyjąć do sierocińca, bo miałam przecież mamę. Jednak mama po znajomości załatwiła nam miejsce w polskim sierocińcu.

Później siostra ciężko zachorowała. Zabrali ją do szpitala i zostałyśmy rozłączone. Jechałyśmy innym transportem. Myślałam, że ona nie żyje, bo była bardzo chora. Szukałam jej grobu na cmentarzu w Teheranie, bo ktoś mi powiedział, że widział nasze nazwisko na grobie. Chodziłam po całym cmentarzu i nie znalazłam jej grobu. Później ktoś mi powiedział, że podobna dziewczynka o takim samym nazwisku jak moje jest w zakładzie nr 5.

Odnalazłyśmy się i od tej pory byliśmy już razem w tym samym zakładzie. Kiedy ją zobaczyłam była schorowana, wychudzona i miała czerwoną twarz. Chorowała na malarię. Mówiła, że jest jej zimno. Przykrywaliśmy ją kilkoma kocami, żeby ją ogrzać. Potem zaczęła się pocić i mówiła, że jest jej gorąco. Przeżyła. Moja siostra Renia Gazdowicz mieszka teraz w Wellington. Z Persji wysłali nas do Nowej Zelandii.

Ojciec służył w Armii Andersa. Dowiedział się, że chcą nas wysłać do Nowej Zelandii i dał pozwolenie. Został ranny i leczył się w szpitalu w Anglii i Szkocji. W Szkocji pewna pielęgniarka powiedziała mu, że w szpitalu jest drugi żołnierz o takim samym nazwisku. Okazało się, że to był jego brat.

Mama została w ZSRR z moją najmłodszą siostrą. W 1946 roku ojciec przyjechał do Nowej Zelandii. Znalazł pracę. Mama była jeszcze w ZSRR. Próbowaliśmy ją stamtąd wydostać. W 1947 roku udało jej się przyjechać do Polski.

**Władysław Miliszewski:** Moja mama też wróciła z ZSRR do Polski w 1947 roku.

**Kazimiera Miliszewska:** Mama była sama z małym dzieckiem. Dopiero w 1961 roku przyjechała do Nowej Zelandii. Po przyjeździe z ZSRR zamieszkała niedaleko Wrocławia, bo tam było jej rodzeństwo. Mama pochodziła z dużej rodziny. Miała pięciu braci i trzy siostry, ale oni nie zostali wywiezieni.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Czy nie było problemów z przyjazdem mamy do Nowej Zelandii?

**Kazimiera Miliszewska:** Były. Dopiero w 1961 roku dostała pozwolenie na przyjazd.

**Władysław Miliszewski:** Ja też sprowadziłem swoją mamę z Polski do Nowej Zelandii. Szukała mnie przez Czerwony Krzyż. Zacząłem się starać, żeby sprowadzić ją do Nowej Zelandii. Udało się to w 1959 roku na I Komunię św. Kazika. Też mieliśmy trudności z uzyskaniem pozwolenia. Matka była z nami dość długo. W Polsce zostawiła syna i córkę i kiedy była w Nowej Zelandii to tęskniła za nimi a kiedy była w Polsce to tęskniła za nami. Trzy razy przeprowadzała się do Nowej Zelandii na stałe i wracała do Polski. Mama chciała być pochowana w Polsce i tak się dzięki Bogu stało. Zawsze chciała mieć swoje dzieci przy łożu śmierci. Byłem w Polsce, kiedy umierała. Jej marzenie się spełniło.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Przeżyliście Państwo bardzo dużo. Jak przez pryzmat tych doświadczeń patrzycie na swoje życie?

**Władysław Miliszewski:** Dużo osiągnęliśmy. Kiedy przyjechałem do Nowej Zelandii nie znałem języka angielskiego, nie miałem pieniędzy. A jednak dałem radę, kupiłem dom, ożeniłem się, mam dwóch synów, którzy skończyli studia. Nie martwię się, że zabraknie mi pieniędzy. Wierzę w Opatrzność Bożą.

**Kazimiera Miliszewska:** Religia była naszym ratunkiem.

**Władysław Miliszewski:** Kiedy jeszcze byłem kawalerem chodziłem na procesje w święto Chrystusa Króla. Matka Boża była dla mnie matką we wszystkim co robiłem. Kiedy wracałem z procesji do głowy przyszła mi do głowy taka myśl:

*Ty jesteś moim Bogiem uwielbionym, przed Tobą królowie zdejmują korony.*

*Ułysz głos prośby narodu polskiego i racz mu wrócić wielką przeszłość jego.*

*Wróc naszej Polsce wolność znamienitą, a mnie młodemu moc w cnocie obfitą.*

To był wpływ ks. Michała Wilniewczyca. Patrzę na świat optymistycznie. Czasem nie jest wesoło, ale człowiek nie może patrzeć na życie pesymistycznie. Straciłem matkę, ojca, ale dałem sobie radę.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Zauważyłem, że społeczność „Dzieci z Pahiatua” jest bardzo zintegrowana. Traktujecie siebie jak wielką rodzinę, przyjaźnicie się.

**Władysław Miliszewski:** Staszek Manterys jest młodszy ode mnie. Gdyby jego ktoś bił w Pahiatua, to by dostał ode mnie. Jesteśmy jak rodzina. Tak samo cierpieliśmy, tęskniliśmy.

**Kazimiera Miliszewska:** Wierzę, że jest jakiś powód, że Bóg nas ocalił i przeżyliśmy.

**Ks. Andrzej Chibowski:** Jakie przesłanie warto przekazać następnym pokoleniom?

**Władysław Miliszewski:** Muszą pamiętać, że Polska ich stworzyła, że Polska ma swoją historię. Moja wnuczka pojechała do Polski. Przywiozła zdjęcia z cmentarza. Mówi: *niech dziadek popatrzy ilu Miliszewskich jest pochowanych na tym cmentarzu*. Ona wie, że tam są jej korzenie. Nie mogę narzekać na Nową Zelandię, bo była dla mnie bardzo dobra, ale nadal jestem Polakiem. Jakby przyszło walczyć za Nową Zelandię to bym walczył, ale przede wszystkim jestem Polakiem.

**Kazimiera Miliszewska:** Na pewno Ksiądz słyszał, że my się nazywamy Dzieci z Pahiatua. To nasza rodzina...